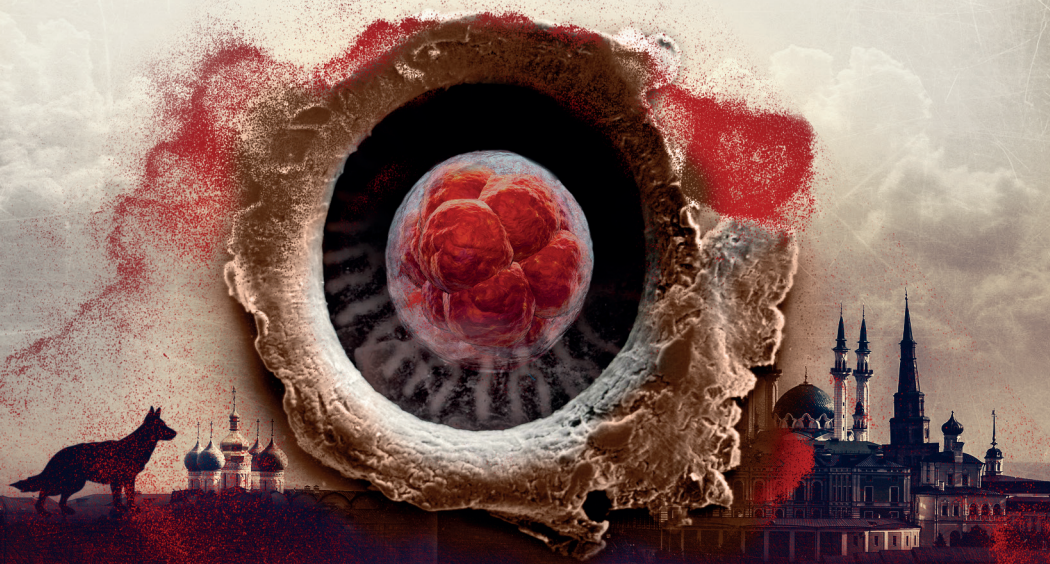


Nowa książka autora cyklu **SIGMA FORCE**

JAMES ROLLINS

GRANT BLACKWOOD



WYŁĄCZNIK AWARYJNY

Prolog

Beczuana, Afryka
Wiosna 1900 roku

Doktor Paulos De Klerk zapakował ostatnie lekarstwa i materiały opatrunkowe do drewnianego kufra i zamknął go na trzy mosiężne zatrzaski, mamrocząc pod nosem:

– *Amat... victoria... curam.*

Zwycięstwo sprzyja przygotowanym.

W każdym razie o to się modlił.

– Więc jak idzie, drogi doktorze? – Dudniący głos generała Maniego Roosy napłynął z wieżyczki obserwacyjnej.

De Klerk zasłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca i spojrzał na brodacza wychylającego się nad barierką. Roosa nie wyróżniał się imponującą budową fizyczną, ale miał charyzmatyczną osobowość, która sprawiała, że wydawał się ponaddwumetrowym olbrzymem; było to w jego oczach. Generał zawsze sprawiał wrażenie gotowego do walki.

I miał ją stoczyć, jeśli wiadomości z północy były zgodne z prawdą.

– Jesteśmy gotowi? – zapytał.

De Klerk skierował uwagę na inne kufry, skrzynie i jutowe worki. Choć słowa generała rzeczywiście brzmiały pytająco, wiedział, że nie wymaga on odpowiedzi. W ciągu całego dnia dowódca zadał to

samo „pytanie” prawie wszystkim żołnierzom pod swoją komendą, krzającą się na płaskowyżu, na którym stał fort, zajęty czyszczeniem broni, liczeniem amunicji i ogólnie rzecz biorąc, przygotowaniami do rychłego wymarszu.

– Jak zawsze będę gotów do ruszenia w drogę pięć minut przed panem, drogi generale – odparł De Klerk i westchnął.

Roosa, poklepując ręką drewnianą barierkę, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Rozbawia mnie pan, doktorze. Gdyby nie był pan taki dobry w swoim fachu, może by mnie kusiło, żeby tu pana zostawić, w bezpiecznym miejscu.

De Klerk powiódł wzrokiem po ruchliwym forcie. Nie cierpiał samej myśli o opuszczeniu tych murów, ale wiedział, gdzie jest najbardziej potrzebny. Otoczony palisadą fort ze skromnymi zabudowaniami może i był prymitywny, lecz przetrwał niezliczone ataki Brytyjczyków, stanowiąc bastion burskich żołnierzy. Wyjście za te zapewniające ochronę mury oznaczało, że prawdopodobnie on i jego sanitariusze w ciągu najbliższych dni będą mieli pełne ręce roboty.

Co nie znaczy, że nie przywykł do okropności wojny.

De Klerk miał tylko trzydzieści dwa lata, ale pięć z ostatnich dziesięciu spędził na wojnie. Pierwsza *Vryheidsoorlog*, czyli wojna wyzwolenicza, wybuchła w 1880 roku i na szczęście trwała tylko rok, kończąc się zwycięstwem Burów. Burowie wyzwolili się spod brytyjskiej władzy i Transwał uzyskał niepodległość. Osiem lat później rozpoczęła się druga wojna burska, w której brał udział nie tylko Transwał, ale również sąsiednia Orania.

Te same kwestie sporne, tylko więcej żołnierzy, pomyślał cierpko lekarz.

Brytyjczycy chcieli trzymać Burów pod kolonialnym obcasem, a ci, rzecz jasna, nie odnosili się z entuzjazmem do tego pomysłu. Przodkowie De Klerka przybyli na sawanny i w góry Afryki, żeby cieszyć się wolnością, a teraz *Engelse* chcieli im ją odebrać. W prze-

ciwieństwie do pierwszej wojny, ta obecna przedłużała się, a Brytyjczycy stosowali w niej politykę spalonej ziemi. Choć ani De Klerk, ani żaden z jego towarzyszy nie ujął tego w słowa, wszyscy wiedzieli, że czeka ich nieuchronna klęska. Jedynym człowiekiem, który wydawał się tego nieświadom, był generał Roosa, w sprawach wojny niepoprawny optymista.

Roosa odepchnął się od barierki, zszedł po topornej drabinie i zatrzymał się przy zajęтым De Klerku. Kilkoma wprawnymi pociągnięciami wygładził mundur khaki. Był tego samego wzrostu co doktor, ale bardziej krzepki i miał krzaczastą brodę. Ze względów higienicznych De Klerk nie zapuszczał zarostu i tego samego wymagał od sanitariuszy.

– Widzę, że zapakował pan mnóstwo bandaży – zauważył Roosa. – Czy ma pan tak złe zdanie o moich talentach przywódczych, doktorze? A może zbyt wysoko ocenia pan angielskich żołnierzy?

– Na pewno nie to drugie, generale. Po prostu wiem, że niedługo będę opatrywać rzesze jeńców ranionych przez nasze kule.

Roosa zmarszczył brwi i potarł brodę.

– Tak, skoro o tym mowa, doktorze... o niesieniu pomocy wrogowi...

Od dawna była to drażliwa kwestia. De Klerk nie chciał zmienić swojego stanowiska.

– Jesteśmy chrześcijanami – powiedział. – Zapewnianie takiej pomocy to nasz obowiązek. Ale rozumiem, że nasi ludzie muszą mieć pierwszeństwo. Będę pomagać brytyjskim żołnierzom tylko na tyle, żeby mieli szansę przeżyć do czasu znalezienia się pod opieką swoich lekarzy. Jeśli zaprzestaniemy takiego postępowania, będziemy nie lepsi od nich.

Roosa poklepał go po ramieniu, niekoniecznie na znak, że się z nim zgadza, ale rozumiał jego punkt widzenia.

Z powodów, które De Klerk nie do końca pojmował, generał zaczął go uważać za swojego powiernika. Często rozmawiał z nim na

tematy, które nie miały nic wspólnego z jego lekarskimi obowiązkami – jakby widział w nim swoje sumienie.

Lekarz wiedział, że Roosa jest zainteresowany jego przygotowaniami z jeszcze innego powodu. Podwładni generała stali się dla niego rodziną, zastępowali mu żonę, trzy córki i dwóch synów – cała szóstka dwa lata temu zmarła na ospę. Strata bliskich niemal go zdruzgotała i zostawiła trwałe blizny na jego psychice. Nie bał się kul czy bagnetów, lecz choroba budziła w nim przemożny strach.

Odchodząc od drażliwego tematu, Roosa wskazał oprawny w skórę dziennik, który De Klerk zawsze trzymał pod ręką.

– Widzę, że kataloguje pan kolejne kwiaty.

De Klerk tklawie, niemal opiekuńczym gestem, pogłodził podniszczoną okładkę.

– Gdy tylko Opatrzność pozwala, tak. Jeśli zmierzamy tam, gdzie przypuszczam, znajdę wiele gatunków, których nigdy dotąd nie widziałem.

– Owszem, kierujemy się na północ, w góry Groot. Zwiadowcy meldują, że brygada angielskich żołnierzy pod wodzą nowego dowódcy, pułkownika, który niedawno przybył z Londynu, wyruszyła z Kimberley na zachód.

– A ten pułkownik bez wątpienia chce jak najszybciej dowieść, ile jest wart.

– Czy oni wszyscy nie są właśnie tacy? Jeśli wyruszymy raniem, ich patrole wypatrzą nas tuż przed wieczorem.

I wtedy rozpocznie się polowanie. De Klerk bynajmniej nie uważał się za stratega, ale spędził z Roosą wystarczająco dużo czasu, żeby poznać jego ulubioną taktykę: najpierw pozwalał, by brytyjscy zwiadowcy ich zauważyli, a następnie zwabiał nieprzyjaciela na północ, w góry Groot, gdzie ukształtowanie terenu ułatwiałoby urządzenie zasadzki.

Wróg wołał walczyć na sawannie, gdzie schludne formacje i przeważająca siła ognia nieodmiennie zapewniały mu zwycięstwo.

Brytyjscy dowódcy nie cierpieli wzgórz, gór i dolin, nienawidzili tego, że Roosa ze swoją bandą wieśniaków odmawia walki na ich warunkach. Generał wiele razy stosował właśnie taką strategię, żeby wciągnąć Brytyjczyków w mordercze zmagania. A oni, jak dotąd, nie wyciągnęli z tego żadnych wniosków.

Ale jak długo będą tak arogancy?

De Klerka przebiegł zimny dreszcz. Sięgnął po dziennik i schował go do kieszeni.

Oddziały wyruszyły długo przed świtem i gdy słońce wspinało się coraz wyżej po niebie, bez przeszkód zmierzały na północ. Było w zenicie, kiedy dopędził ich jeden z wysłanych na południe zwiadowców galopujący na spienionym, zadyszanym wierzchowcu. Udał się wprost do Roosa, który jechał na czele kolumny.

De Klerk nie musiał słyszeć meldunku, żeby znać jego treść.

Nieprzyjacieli ich znalazł.

Po krótkiej rozmowie ze zwiadowcą generał podjechał do wozu medycznego.

– Doktorze, Brytyjczycy niebawem rozpoczną pościg. Pańskim wygodnym wozem będzie trochę trzęsło.

– Mniej się przejmuję wozem niż tym, w jaki sposób wstrząsy wpłyną na moje delikatne narządy wewnętrzne. Myślę jednak, że jakoś to przeżyję.

– Podziwiam pański hart ducha.

Minuty przechodziły w godziny, a generał prowadził kolumnę na północ, w miarowym tempie zmniejszając odległość dzielącą ich od gór. Podnóża rysowały się na horyzoncie, ze szczegółami rozmytymi przez wznoszące się nad sawanną fale rozgrzanego powietrza.

Dwie godziny przed zmierzchem przybył kolejny zwiadowca. Gdy przejeżdżał obok wozu medycznego, De Klerk z wyrazu jego twarzy i postawy odgadł, że dzieje się coś złego. Po krótkiej rozmowie

wie z generałem zwiadowca odjechał.

Roosa obrócił konia i krzyknął do oficerów:

– Przygotować wozy do szybkiej jazdy! Pięć minut! – Zbliżył się do De Klerka. – Ten nowy angielski pułkownik próbuje być sprytny. Chce nas oskrzydlić i podzielił swoje oddziały na dwie części, z których jedna jest młotem, a druga kowadłem.

– Z nami pośrodku.

– Przynajmniej taką mają nadzieję – odparł Roosa z szerokim uśmiechem. – Ale nadzieja zgaśnie wraz ze światłem, doktorze. Zwłaszcza jeśli zwabimy ich w góry. – Beztrosko machnął ręką, zawrócił konia i odjechał.

Kilka minut później wzdłuż kolumny poniósł się jego tubalny głos.

– Szybki marsz... naprzód!

Woźnica De Klerka trzasnął lejcami po końskich zadach.

– Wio... wio! – krzyknął.

Konie wierzgnęły i ruszyły galopem. De Klerk kurczowo chwycił się burty wozu, nie odrywając spojrzenia od dalekich gór Groot Karas.

Za daleko, pomyślał posępnie. Za daleko i za mało czasu.

Po godzinie okazało się, że jego obawy były uzasadnione.

Tumany pyłu zapowiadały powrót dwóch jeźdźców, których Roosa wysłał na północ na rozpoznanie, ale gdy pył osiadł, stało się jasne, że wrócił tylko jeden. Zwiadowca, dwukrotnie postrzelony w plecy, pochylił się w siodle i spadł z konia.

Roosa dał rozkaz, żeby się zatrzymać, po czym ruchem ręki przywołał De Klerka. Doktor zabrał torbę lekarską, podbiegł do rannego i ukląkł. Stwierdził, że obie kule przedarły się przez narządy wewnętrzne i wyszły z przodu torsu młodego człowieka.

– Zapadnięte płuco – powiadomił Roose, który podtrzymywał

głowę chłopca.

Zwiadowca Meer, ledwie osiemnastoletni, chwycił generała za rękaw i próbował coś powiedzieć, lecz zanim znalazł słowa, na usta wystąpiła mu krwawa piana.

– Generale – wyrzęził – *Engelse* batalion... na północ od nas. Ciężka kawaleria, szybkie przodki z armatami.

– Jak daleko, synu?

– Trzynaście kilometrów. – Meer zakaszłał chrapliwie i z ust trysnęły mu krople krwi. Wyprężył się, ostatkiem sił walcząc z tym, co było dla niego nieuchronne, po czym nagle jego ciało bezwładnie opadło.

De Klerk sprawdził puls i pokręcił głową.

– Całe to moje gadanie o angielskiej arogancji – mruknął Rososa. – To ja byłem arogancki. Ten nowy brytyjski pułkownik próbuje odciąć nam drogę do Groot. Jeśli dopadną nas na otwartej przestrzeni... Hm, w takim wypadku, drogi doktorze, będzie pan miał więcej pracy niż w ciągu całego życia.

De Klerk nie odpowiedział, ale generał zauważył, że pobladł.

Mocno chwycił go za ramię.

– *Engelse* pułkownik jest sprytny, ale jego kleszcze wciąż są rozarte na tyle szeroko, że zdołamy się wymknąć. Co więcej, niebawem pochłonie nas noc.

Godzinę później, siedząc na podskakującym wozie, De Klerk patrzył, jak górny skraj tarczy słonecznej niknie za horyzontem. Wkrótce zapadnie noc, ale niebo na wschodzie przysłaniał pióropusz pyłu, czerwonożłoty w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Oszacował, ile koni może wzbicić taką chmurę.

Co najmniej dwustu jeźdźców.

A za nimi niezliczone wozy pełne żołnierzy i do tego armaty.

Boże, miej nas w opiece...

Ale przynajmniej dotarli bezpiecznie do podnóży Groot, wymykając się z nieprzyjacielskich kleszczy. Wóz podskoczył i z terkotem wjechał do cienistej doliny. Siły brytyjskie zniknęły z pola widzenia.

Odwrócił się i spojrzał na rozciągający się przed nimi istny labirynt wzgórz, suchych koryt rzecznych i jaskiń. Roosa wiele razy wystawiał ukryte w górach „kieszonkowe fortece”, podziemne warownie, w których Burowie mogli przeczekać każde brytyjskie oblężenie.

Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Czas płynął powoli, rozcierany w proch przez koła wozów i końskie kopyta. Wreszcie powróciła jedna z grup zwiadowców wysłanych przez generała na południe. Po krótkiej naradzie jeden z jeźdźców odjechał, a Roosa wydał rozkaz, żeby kolumna zwolniła.

Zbliżył się do wozu De Klerka.

– Zyskaliśmy trochę czasu, doktorze. Ale ten *Engelse* pułkownik jest nie dość że szczwany, to jeszcze na domiar złego uparty. Jego żołnierze wciąż za nami ciągną.

– Co to dla nas oznacza?

Roosa westchnął. Wyjął chusteczkę z kieszeni bluzy i otarł twarz z pyłu.

– Cytując Szekspirowskiego Falstaffa, odwaga winna iść w parze z rozwagą. Pora się gdzieś zaszyć. W pobliżu jest jedna z naszych kieszonkowych fortec. Ukryta, łatwa do obrony. Schowamy się, zaczekamy, aż *Engelse* zaczną mieć gór powyżej uszu, i zaatakujemy od tyłu, kiedy rozpoczną odwrót. Nie ma pan... hm...? Jest takie słowo na lęk przed przebywaniem w ciasnych pomieszczeniach...

– Klaustrofobii? Nie.

– Dobrze to słyszeć, doktorze. Mam nadzieję, że inni dzielą pański hart ducha.

Przez pół godziny Roosa prowadził ich coraz dalej w góry, aż w końcu skręcił w wąską dolinę i zatrzymał się przed wejściem do jaskini. Ludzie zaczęli przenosić ekwipunek.

De Klerk dołączył do generała stojącego przy wlocie tunelu.

– A co z końmi i wozami? – zapytał.

– Wszystko pójdzie do środka, doktorze. Będziemy musieli częściowo rozebrać wozy, ale wewnątrz jest dość miejsca na zagrodę dla koni.

– A prowiant?

Roosa uśmiechnął się z pewnością siebie.

– Zaopatrzywałem jaskinię od jakiegoś czasu, doktorze, a poza tym mam kilka asów w rękawie. Jeśli ten *Engelse* pułkownik nie wpadnie na pomysł, żeby miesiącami kręcić się po górach, nie mamy się czego obawiać. A teraz, jeśli pan chce, proszę zabrać dwóch ludzi i wnieście swoje rzeczy. Za godzinę wszystko ma się znajdować w bezpiecznym miejscu.

Jak zwykle Roosa postawił na swoim. Gdy w migotliwym blasku latarni wniesiono do jaskini ostatnie zapasy, zajął się nadzorowaniem rozmieszczania ładunków czarnego prochu wokół wejścia. De Klerk, urządziwszy w głębi jaskini coś w rodzaju infirmerii, przyszedł popatrzeć.

– Dobrze, dobrze! – krzyknął generał do jednego z saperów. – Ten ładunek z lewej strony umieście trochę wyżej. Tak, tam! – Odwrócił się do lekarza. – Doktorze, już się pan urządził?

– Tak, generale. Ale czy mogę spytać... czy to mądre? Zamykanie nas w jaskini...

– Byłoby wybitnie niemądre, doktorze, gdyby istniało tylko jedno wejście. Ale ten system jaskiń jest ogromny, z licznymi mniejszymi, dobrze ukrytymi wyjściami. Długo rozmyślałem nad tą taktyką.

– Rozumiem.

Z zewnątrz napłynął tętent kopyt. Strzelcy wyborowi, wysłani w celu nękania sił brytyjskich, kolejno wchodzili do jaskini, prowadząc spienione, posapujące wierzchowce. Ostatni zatrzymał się

obok Roosy.

– Znacznie spowolniliśmy wrogów, generale, ale ich zwiadowcy są niespełna godzinę za nami. Szacujemy, że mają trzystu kawalerzystów, dwustu piechurów i czterdzieści dwunastofuntowych armat.

Roosa przemyślał podane informacje i potarł brodę.

– Imponująca siła. Wygląda na to, że Brytyjczycy wyznaczili wysoką cenę za nasze głowy. Ale nawet jeśli zdołają nas znaleźć, to bitwa zostanie stoczona na naszym terenie. A wtedy, towarzysze, zobaczmy, jak dobrzy są *Engelse* w kopaniu grobów.

Po odpaleniu ładunków i zasypaniu wejścia do jaskini noc minęła spokojnie – podobnie jak następny dzień i sześć kolejnych. Burscy żołnierze rozlokowali się w nowej warowni i urządzali groty w taki sposób, żeby były nie tylko wygodne, ale też jak najbardziej zdatne do obrony.

Tymczasem zwiadowcy Roosy pod osłoną ciemności korzystali z tajemnych wyjść z jaskini i wracali z tym samym meldunkiem: Brytyjskie bataliony wciąż przebywają w górach i prowadzą intensywne poszukiwania, ale, jak dotąd, nikomu nie udało się znaleźć podziemnej fortecy.

Po tygodniu samotny zwiadowca, który wrócił o świcie, zastał generała w mesie oficerskiej, małej grocie, w której z desek rozmontowanego wozu sklecono stół na kozłach i ławki. Roosa i De Klerk siedzieli przy stole, w blasku wiszącej latarni omawiając raport z in-firmerii.

– Psy – zameldował zwięźle zwiadowca. – Gończe. Idą w tę stronę.

– Jesteś pewny? – zapytał Roosa, przymrużając oczy.

– Tak, generale. Słyszałem ujadanie, jakieś trzy kilometry stąd. Wydaje mi się, że zmierzają w kierunku naszej kryjówki.

– Może to szakale? – podsunął De Klerk. – Albo dzikie psy afry-

kańskie?

– Nie, doktorze. Moj ojciec miał gończe, kiedy byłem dzieckiem. Dobrze znam ich szczekanie. Nie mam pojęcia, jak...

– Pojmali trzech naszych – wyjaśnił Roosa, jakby spodziewał się takich wiadomości. – Ich zapach jest naszym zapachem, a stłoczeni w tej przeklętej jaskini... – Generał spojrzał na twarze towarzyszących mu oficerów i zniżył głos. – Panowie, obsadźmy szanice, takie jakie są. Wygląda na to, że *Engelse* wpadną tu na herbatę.

Pierwsze ukryte wejście, które znaleźli Brytyjczycy, znajdowało się po południowej stronie systemu jaskiń: dziura zamaskowana przez spiętrzone głązy.

I tak się zaczęło.

De Klerk znalazł generała, który wraz z jednym z oficerów, niejakim Vosem, klęczał za workami z piaskiem. Za nimi strop wielkiej groty opadał na wysokość ramienia, a jakieś piętnaście metrów dalej zaczynał się tunel prowadzący do tajnego wyjścia. Dwunastu żołnierzy zajmowało stanowiska w jaskini, każdy klęczał ze strzelbą za skalną kolumną.

Roosa się odwrócił, przyłożył palec do ust, a potem wskazał ucho.

De Klerk skinął głową i zachował milczenie. W ciszy wytężył słuch. Rozpoznał dobiegające z daleka ciche poszczekiwanie psów. Po kilku minutach ujadanie ucichło.

Wszyscy wstrzymali oddech. Żołnierz zajmujący pozycję za jedną z najbardziej wysuniętych do przodu kolumn dał znak generałowi.

Ten pokiwał głową.

– Słyszysz głosy. Wielu ludzi idzie tunelem. Vos, wiecie, co robić.

– Tak jest, generale.

Vos zazgrzytał bagnetem o skaliste podłoże i kiedy przyczajeni

ludzie obrócili głowy w jego stronę, gestami wydał im rozkazy. De Klerkiem, który wiedział, co zaraz nastąpi, zawładnął strach.

W wylocie tunelu pojawił się pierwszy brytyjski żołnierz widoczny w nikłym blasku niesionej przez niego latarni. Wczołgał się do grotu, skręcił w lewo i stanął, robiąc miejsce dla następnego. Brytyjscy zwiadowcy jeden po drugim wypełzli z tunelu, aż cała szóstka przykucnęła w dalekim końcu jaskini. W milczeniu oświetlali latarniami ściany, sklepienie i skalne kolumny.

De Klerk patrzył, wstrzymując oddech.

Przekonani, że jaskinia jest pusta, Anglicy przypięli latarnie do pasów i ruszyli dalej, z karabinami gotowymi do strzału.

Vos pozwolił im podejść na sześć metrów, po czym dwa razy stuknął bagnetem w skałę. Jego ludzie otworzyli ogień, zabijając wszystkich poza jednym zwiadowcą, który teraz z jękiem czołgał się w kierunku tunelu, zostawiając za sobą szlak krwi.

De Klerk chwycił torbę lekarską i wstał, lecz Roosa złapał go za rękę i pokręcił głową.

– Generale, przecież on jest...

– Nie, doktorze. Im większe przerażenie wzbudzimy w sercach *Engelse*, tym prędzej stąd odejdą. Vos, zajmijcie się tym.

Na znak generała Vos przeskoczył przez wał worków, wyciągnął nóż i podszedł do czołgającego się żołnierza. Ukłął i poderżnął mu gardło.

Roosa spojrzał na De Klerka.

– Przykro mi, doktorze. Wydawanie takich rozkazów nie sprawia mi przyjemności, ale jeśli chcemy przeżyć, musimy być brutalni.

Takie okrucieństwo ciążyło w piersi doktora niczym zimny kamień. Kiedy odwracał się zrozpaczony, jednego był pewien:

Pod czujnym okiem Boga nic nie uchodzi bezkarnie.

Mijały dni, a Brytyjczycy nie dawali za wygraną. Wróg znalazł

wszystkie sekretne wejścia poza jednym. Na szanćcach, jak zwał je Roosa, toczono małe, ale zaciekle bitwy. Stało się jasne, że brytyjski pułkownik z determinacją dąży do zdobycia jaskiń, nie bacząc na ciężkie straty – pięciu, sześciu, siedmiu żołnierzy płaciło życiem za jednego rannego albo zabitego Bura.

De Klerk nie szczędził starań, żeby pomagać rannym i konającym, ale gdy dni przeszły w tygodnie, umierało coraz więcej Burów – z początku od brytyjskich kul, później z powodu choroby. Pierwszy niedomagający żołnierz, który pojawił się w infirmerii, narzekał na silne skurcze brzucha. Sanitariusze poratowali go ziołami, lecz kilka godzin później mężczyzna dostał gorączki i skręcał się z bólu. Nazajutrz przyszło dwóch innych z takimi samymi objawami, a dzień później zjawiono się czterech kolejnych.

Infirmeria stała się istnym domem wariatów pełnym krzyczących, wijących się z bólu pacjentów. Roosa codziennie tam zaglądał, żeby sprawdzić, w jakim stanie są jego ludzie. Pewnego dnia De Klerk zdał mu ponury raport.

Generał wysłuchał i zmarszczył czoło.

– Chcę to zobaczyć.

Lekarz wziął latarnię i zaprowadził go do groty, gdzie sześciu chorych odbywało kwarantannę. Razem ukłękli obok pierwszego pacjenta, który zgłosił się z objawami choroby, młodego blondyna o nazwisku Linden. Chłopak miotał się na prowizorycznej pryczy. Był śmiertelnie blady. Ręce miał przywiązane rzemieniami do boków prymitywnego łóżka.

– Czy to konieczne? – zapytał Roosa.

– Nowe objawy – wyjaśnił De Klerk i pochylił się nad pacjentem.

Podciągnął cienką bawełnianą bluzę, żeby odsłonić tors chorego. Brzuch pokrywały brodawkowate zgrubienia, ale nie na powierzchni skóry. Wydawało się, że rosną pod spodem.

– Boże... Co to takiego?

De Klerk pokręcił głową.

– Nie wiem, generale. Gdyby nie był skrępowany, rozdrapałby sobie brzuch do żywego mięsa. Proszę spojrzeć.

Razem pochylili się nad chłopakiem. Doktor czubkiem skalpela wskazał jeden z większych guzków wielkości ziarnka grochu.

– Widzi pan ten mlecznozielony kolor pod skórą?

– Widzę. Wygląda to tak, jakby coś w nim rośło.

– Nie „jakby”, generale. Coś w nim rośnie. W nich wszystkich. I cokolwiek to jest, na siłę chce się wydostać. Wszyscy mają takie symptomy. Proszę spojrzeć tutaj.

Roosa przysunął latarnię. Guzowaty groszek zdawał się więc pod skórą jak robak. Nagle wyrósł z niego czerwony pęcherzyk, który szybko osiągnął wielkość dojrzącej śliwki.

– Co, u licha...? – szepnął Roosa.

– Proszę się cofnąć – powiedział doktor, sięgnął po kawałek płótna i zakrył nim guzek. Szmatka wybrzuszała się przez kilka sekund, a potem usłyszeli głuche pyknięcie. Na płótnie pojawiła się zabarwiona na żółto szkarłatna plama. Pacjent zaczął dziko wierzgać, nogi pryczy waliły o podłogę.

Podbiegł sanitariusz, żeby pomóc go przytrzymać. Linden wygiął plecy w łuk, wspierając tył głowy na poduszce. Nagle pod skórą na jego szyi i brzuchu pojawiły się dziesiątki guzków z pęcherzami, które rosły w oczach.

– Cofnąć się, cofnąć się! – krzyknął De Klerk i wszyscy trzej odskoczyli.

Z przerażeniem patrzyli, jak bąble pękają jeden po drugim. W migotliwym świetle latarni żółtawa mgielka wzbijała się w powietrze, po czym powoli opadła na chłopaka.

W ostatnim paroksyzmie chory poderwał się z pryczy, wsparty tylko na piętach i czubku głowy. Szeroko otworzył niewidzące już oczy, opadł na posłanie i znieruchomiał.

De Klerk nie musiał sprawdzać, a Roosa nie musiał pytać. Lin-

den nie żył. Sanitariusz zarzucił koc na wyniszczone ciało.

– Ilu się zaraziło? – zapytał Roosa łamiącym się głosem.

– Siedmiu.

– I jakie są rokowania?

– Jeśli nie znajdę źródła i nie będę mógł przeciwdziałać, obawiam się, że wszyscy umrą. Jak ten chłopiec. Ale nie to jest najgorsze.

Generał w końcu oderwał spojrzenie od okrytych kocem zwłok.

– To dopiero początek – powiedział De Klerk. – Z pewnością zachoruje wielu więcej.

– Podejrzewa pan, że szerzy się zaraza.

– Nie ma innego wytłumaczenia. Sam pan widział, co się wydobyło z pęcherzy. Musimy założyć, że choroba rozprzestrzenia się w ten sposób.

– Jak pan sądzi, ilu już się zaraziło? – dociekał Roosa.

– Musi pan zrozumieć, że nigdy nie widziałem czegoś podobnego ani nawet o czymś takim nie czytałem. Okres wylęgania jest krótki. Trzy dni temu ten chłopak był okazem zdrowia. Teraz nie żyje.

– Ilu? – powtórzył z naciskiem Roosa. – Ilu zachoruje?

Lekarz nie odwrócił wzroku, więc generał widział w jego oczach przekonanie.

– Wszyscy. Każdy obecny w tej jaskini. – Doktor chwycił Roose za nadgarstek. – Cokolwiek zabija tych ludzi, jest wyjątkowo zjadliwe. I jest tutaj z nami.